

Autor: Jerzy Sulima-Kamiński

Dnia 20.04.1980 r. 494

Redakcja Liter.i Report.

Godz. 16.05 - 17.30

*JS*  
*Jerzy Sulima-Kamiński*

Główny Urząd Kontroli Prasy  
i Wydawnictw  
Delegat...  
Katedra...  
Data 18 IV 1980

/fragment prozy/

Koło południa przyszli Mühlheimowie. On i ona. - Teraz się zacznie - pomyślał Emanuel. - Nie wiedział co ta mała naopowiadała rodzicom. Pewnie jakieś niestworzone rzeczy. O nim i o całej tej sprawie w garażu. Czuł się niewinny, to też postanowił się bronić. I nigdy już nikomu nie wypożyczać garażu. Pod żadnym pozorem i w żadnym przypadku.

Zły i pełen niepokoju, zaprosił ich do salonu. Rozglądali się dyskretnie dokoła. Podobało im się. Mühlheim zaczął od pytania czy może mówić po niemiecku. Czy będzie zrozumiany? Emanuel skinął potwierdzająco. Wtedy przystąpił do prezentacji: on jest Mühlheim, a ona jest Mühlheimowa. Susie jest ich córką, jedynaczką. Bardzo żałuje, że nie mogła przyjść tutaj osobiście, przeprosić za kłopoty, jakich stała się przyczyną. Leży w łóżku z gorączką i katarem.

- Ach, so... - mruknął Emanuel.



I Mühlheim dalej o tym, jak bardzo jest im przykro za incydent. Tyle w tym winy Susie, co ich samych. Nie trzeba było ją puszczać do tego Gdańska. /nach "Dancig", powiedział/. W drodze chwyciła ją gorączka. Jechała jak na rauszu i stało się.

- Mogło być gorzej - zauważył Emanuel.

Mühlheim przytwierdził. Zgadza się. Ale koszta i tak są.

- Pan szistko liczy zusamen do kupy - powiedziała niemal po polsku Mühlheimowa. - Mój monsz da.

- To pani zna polski? - zdumiał się Emanuel.

- Karwacka jes moja kuzyna. A Susie jechała do drugi kuzyny, co jest siostra Karwacki. A my są z Mainzu. Ja tu się rodziła; mój papa był kolejarz na kolei, Polak. Ino mama trochę Niemka, ale nie za bardzo...

Emanuel uczynił niecierpliwy gest ręką; Mühlheimowa zamilkła. Nie był ciekaw jej życiorysu. Jak z nią było, tak było; śledztwa w tej sprawie nie będzie. Ciągłe jeszcze nie był pewny, czy Mühlheim nie trzyma czegoś złego w zanadrzu. No bo Susie spędziła całą noc poza domem. Czyżby uwierzyli ~~mimiz~~ małej, że wróciła prosto z trasy dopiero około szóstej nad ranem? Samochód był w garażu, całe osiedle musiało słyszeć. Chyba że mocny sen mają tutejsi ludzie sprawiedliwi. Susie choćby nie wiadomo co, musiała



odejść z jego domu o brzasku dnia; po prostu nie miała w czym wyjść. Jej ubranie suszyło się w łazience nad wanną, do której Emanuel wstawił, długo szukając przedłużacza, elektryczny grzejnik. Szwy i tak były wilgotne, gdy wkładała na siebie kombinezon. Świeżo tłuste plamy puściły, ale Susie twierdziła, że dopiero dzienne światło wykaże jak to jest z tym praniem naprawdę. Mühlheimowie mogli sobie myśleć co chcieli, Emanuel miał sumienie czyste. Właściwie zabierali mu tylko czas. Oczekiwany, a tak niefortunny telefon Kamili zmienił wszystko. Nie miał sobie nic do wyrzucenia. To przekonanie uzbroiło go w pewność siebie i od tego momentu poczuł się gospodarzem. Zapropozował Mühlheimom kawę.

Podziękowali. Mühlheim upierał się, że chce zobaczyć i ocenić szkody. Mühlheimowa poparła go. Emanuel przeprowadził ich przez piwnicę do garażu. Wszystko było tam jak w chwili gdy Susie pośliznęła się i usiadła w oleju. Mühlheimowie parokrotnie obeszlili samochód dokoła. Mühlheimowa spazmowała: - O Gott, o Gott! So ein Unglück! - Mühlheim psykał żeby się uciszyła. Nie jest tak źle. Wyklepie się, polakieruje. I to szybko, jeszcze tutaj. Bo u nich za drogo.

Wspólnymi siłami ustawili pojazd w pozycji nadającej się do wyprowadzenia z garażu. Potem Mühlheim przyjrzał się obłupanej



futrynie i ścianie z obtłuczonym tynkiem. Spytał Emanuela czy chce gotówką, czy też ma się postawić o rzemieślników. Emanuel podziękował. Sam naprawi, nie chce żeby tu się obcy kręcili. Za pieniądze dziękuje, nie przyjmie.

Mühlheim był wniebowzięty, jeszcze bardziej Mühlheimowa.

Wzięła kluczyki i otworzyła bagażnik. Pochylona do przodu, myszkowała wzrokiem po kufrze. - Nic z wiotkości Susie w tej kobiecie - pomyślał. Podejrzewał, że sprawdza czy wszystko jest na swoim miejscu, czy nic nie zginęło. Spojrzała na niego, jakby nie mogła się czegoś doszukać. Wskazał wzrokiem kąt garażu. Poszła tam i wróciła, niosąc narty wodne. Nie chciały zmieścić się w bagażniku, więc Emanuel przyszedł jej z pomocą. Ułożone po przekątnej mieściły się swobodnie. Mühlheimowa wrzuciła jeszcze do środka rybaki Susie i zatrzasnęła klapę. Emanuel odetchnął.

Mühlheimowie pojechali. Emanuel pozbierał drzazgi i zmiotł odpadnięty tynk. Mimowolnie zerkał w kąt, gdzie przed chwilą jeszcze stały owe lakierowane buty Susie z cholewami sięgającymi niebezpiecznie wysoko. Tak wysoko, że Emanuel myśląc o tym, poczuł zawrót głowy. Gruntownie wymiotł to miejsce, ściany i posadzkę. Był jak egzorcysta wypędzający z domostwa siły



nieczyste. Przypomniawszy mu się testament. Dziś. Jeszcze dziś musi załatwić tę sprawę. Nigdy nie wiadomo, gdzie czai się stary Paździewski.

Ale dzień schodził mu na niczym. Błąkał się po domu bez ładu i składu, nigdzie nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Chciał być tam, gdzie go akurat nie było. Najdłużej wytrwał w pokoju Kamili. Tu miał o czym myśleć. Na przykład, co robić z Misiem? Wrzucić go do pralki? Ale przecież Susie była całkiem apetyczna. Pachniała szamponem i wodą kolońską. Miś posłużył jej tylko za przyzwoitkę. Doskonała rola dla Misia Kamili.

Kiedy tak ważył w ręku zwierzaka i nie wiedział czy skazać go na torturę płomienia, czy też odpuścić mu winę, Emanuel przypomniał sobie zdarzenie sprzed lat.

Kamila chodziła wtedy jeszcze do szkoły podstawowej, ale była już dziewczynką fizycznie ponad swój wiek ukształtowaną. Emanuel od dłuższego czasu obiecywał Kamili, że spędzą którąś z księżycowych letnich nocy na tarasie, patrząc w gwiazdy. Długo nie udawało mu się spełnić obietnicy. Aż kiedyś, w samą pełnię, Kamila przypomniała mu o przyrzeczeniu. Noc była wyjątkowo ciepła, bezwietrzna i jasna, w ogrodach cykały świerszcze, a na drzewach poskrzekiwały przez sen sroki. Przygotowali materace, zaszyli



się w śpiwory i legli twarzami do gwiazd. Było ich więcej niż zazwyczaj. Z parteru przydreptała Pinga i mruczając, położyła się między nimi. Cały Wszechświat zawisnął nad ich głowami. Przytuleni do siebie, długo milczeli, przepojeni mistyczną grozą Kosmosu. Byli jak dwoje wiernych, zagubionych w przepaściach niezmierzonej katedry. Ta jawa była jak ze snu, najpiękniejszego z pięknych. Nigdy już chyba potem nie byli tak blisko siebie jak w ową letnią, gwieździstą noc spędzoną na tarasie ich domu.

Później rozmawiali szeptem, jak w kościele. Emanuel objaśniał Kamili Wszechświat. Słuchała ojca, jak słucha się proroka. Mówił o gwiazdach, ale spoglądał w jej oczy. Iskrzyły się od światła niebieskich ciał, w nich to, jak w zaczarowanych kryształach, odbijał się obraz Absolutu. Spoglądając na córkę, Emanuel z bolesną siłą pojął niepowtarzalność i wielkość tej chwili. Nigdy i nigdzie już się taki moment nie powtórzy. Nigdy nie było, nie ma i nigdy nigdzie nie będzie dwoje takich jak oni, ojciec i córka. Przygarnął małą do siebie i musnął wargami jej włosy. Wskazującym palcem swojej prawicy wodził po niebie, po srebrzysto-mglistej smudze Mlecznej Drogi. Mówił o gwiazdach, które świecą, a których już nie ma. Ich światła są tylko echem ich istnienia. Ich blask jest niby pamięć o zmarłych; odeszli,



a płoną w nas. Mówił o gwiazdach, które rodzą się gdzieś na krańcach Wszechświata i których promienie dotrą na Ziemię od dziś, za setki lub nawet tysiące ludzkich pokoleń. I może wtedy ich światła także będą już tylko listami bez nadawców. Bo we Wszechświecie te same prawa co i na Ziemi, która też jest statkiem kosmicznym, a my, ludzie, jego załogą. Światy rodzą się i umierają. Bez śmierci nie byłoby życia. Życie musi umierać, aby żyć mogli inni. Nam też ktoś kiedyś ustąpił miejsca, tak jak my odstąpimy miejsca innym. To jest piękne i sprawiedliwe. Bylebyśmy tylko dobrze umieli spełnić tę chwilę na ziemi. Jak najlepiej wykorzystać dla nas samych i dla innych ten odwieczny kołowrót życia i śmierci. I niech głupcy nie myślą, że skoro śmierć rodzi nowe życie, to dlaczegożby nie mordować? Dlaczego nie wzniecać wojen? Skoro są one mierzwą pod nowe życie? Ale wojny niszczą biologiczny rytm, służą więc tylko śmierci, niczemu wężej. Śmierć jako konsekwencja życia nie jest niczym złym. Zło zaczyna się tam, gdzie z zadawania śmierci ludzie uczynili rzemiosło.

Emanuel monologował. Kamila... Czy go słuchała? Wystarczała mu jej obecność. Miał ją w ramionach i uczył mądrości na miarę swego formatu i temperatury serca. Był interesujący, gdy mówił o gwiazdach. Życie i śmierć to dla Kamili abstrakcja.



Zauważył, że zaczyna ciążyć mu w ramionach. Jeszcze wskazał na gwiazdozbiór Pegaza. Na tę bramę pomiędzy gwiazdą Markab i Scheat. Z czeluści tych wrót wychynał niegdyś pojazd kosmiczny, mknący z północy na południe, by nagle, pod kątem prostym, skierować się na zachód. Noc była wówczas taka sama jak ta, podczas której leżeli w śpiworach na tarasie, nakryci kopułą boskiego planetarium; ciepła, księżycowa, z ciszą brzmiącą jak kryształ. Emanuel szeptał Kamili o swoim przeżyciu, o tym, czego doznał i czego nauczył go ów pulsujący różowym światłem, wylaniający się z piersi Pegaza, punkt... Ale Kamila już spała. Ułożył ją na materacu, twarzą do gwiazd. Zasnął z jej dłonią w swojej.

Kiedy się zbudził, księżyc stał wysoko nad nimi. Kamila leżała jak był ją ułożył, na wznak. Wyglądała jak ukrzyżowana niewinność, z tymi swoimi na boki rozrzuconymi ramionami. Zdjął ze swojej piersi jej ramię i ułożył je wzdłuż jej ud. Wtedy spostrzegł rzecz straszną: brzuch Kamili rysował się w świetle księżycy jak wielka, kamienista góra! Zmartwiało ze zgrozy. O Jezu!... To dziecko ciężarne! Ukląkł nad nią i począł obmacywać jej brzuch. Watowane poszycie śpiwora kłamało jego palcom, więc dokonał iście cesarskiego cięcia: pociągnął za zamek błyskawiczny i rozpruł śpiwór aż po kolana Kamili. Na brzuchu dziewczynki



leżał ten ogromny, paskudny szmaciany miś... Odtąd Emanuel nabawił się obsesji ciąży. Ciąży Kamili.

Dzień nie chciał się kończyć. Emanuel włożył na siebie skafander, wziął grabie z komórki na narzędzia i poszedł do ogrodu grabić zeschnięte liście. Potem zawoził je taczkami w głąb ogrodu i wyrzucał na kompostownik. Wkrótce przestało go to bawić. Przyszło mu na myśl, że mógłby pojechać do miasta, wpaść gdzieś na kawę i jabłecznik z bitą śmietaną. Może przy okazji spotkałby kogo znajomego, pogawędził. Zostawił taczki oraz grabie na ogrodowej ścieżce i wrócił do mieszkania. Przygotował sobie kąpiel, ogolił się. Rozłożył na pościeli czystą bieliznę i koszulę. Szukając krawata zorientował się, że dzień już szarzeje i że właściwie lepiej pozostać w domu. To spostrzeżenie poprawiło mu humor. Zeszedł z książką do salonu, zapadł w poduchy fotela i począł czytać.

Pod wieczór Mühlheimowie przysłali Susie z butelką koniaku. Nie mógł im odmówić prawa do rewanzu, chociaż koniak najczęściej kojarzył mu się z mydlinami. Udał rozradowanego prostaczka.

- Ach, co za kosztowny prezent! Zupełnie niepotrzebny wydatek.

- A Susie zachowywała się więcej niż swobodnie. Sądząc po jej sposobie bycia, uważała się tu prawie za domowniczkę.



Chodziła po salonie, poprawiała frędzle dywanu, drapowała firany i poprawiała poduszki na kanapie. Brała do rąk bibeloty i ostukiwała je, słuchając jak dźwięczy porcelana. Albo nagle ozdrowiała, albo też jej choroba była wymysłem Mühlheimów. Susie nie pociągała nosem i nie wyglądała na osobę gorączkującą. Kiedy usiadła wreszcie na kanapie z podkulonymi pod siebie nogami, jej zielone rajty napięte do ostateczności, pojaśniały na kolanach, które wyglądały jak gołe. Biodra Susie rozsadzały ciasną dzinsową spódnicę, odsłaniającą w tej nonszalanckiej kanapowej pozie połowę jej ud. Susie z bezmyślną lubością masowała sobie stopy. Jej holenderskie trepy, niby wraki czółen, koślawo spoczywały na brzegu dywanu. Susie była beczelnie rozlazła w tym swoim omdlewająco-marzycielskim nastroju zblazowanej odaliski.

Emanuel zapobiegawczo wstawił koniak do barku. Chrobot zamka ocknął Susie. Napomknęła, że chętnie wychyliłaby kieliszek. Emanuel zaklął w myślach, wyjął butelkę z barku i udał się do kuchni.

Długo szukał zapalek i klucza do sytuacji. Jak powinien traktować Susie? Czy jest ona jeszcze dzieckiem? Czy już kobietą? Tak czy tak, mogła być jego córką i w ogóle nie ma o czym gadać. Wleje w nią kawę, podziękuje za prezent i odprowadzi do drzwi.



Wszystko załatwione. Nie ma pretensji ani do niej, ani do jej rodziców. Ma córkę w jej wieku i to właściwie przesądza całą sprawę. Zastanowił się co podać do kawy. Nie otworzy przecież puszek z gulaszem, a ciastek nie ma. To i lepiej. Susie popije dwa łyki kawy, skosztuje odrobinę koniaku, obliże się i powie do widzenia, albo good bye. Raczej to drugie. W kuchennym kredensie, za talerzami, znalazł zapomnianą paczkę harcerskich wafli. Rozłożył andruty na spodku i przypomniał sobie o puszcze z ananasami. Przyniósł ją z piwnicy. Przechodząc przez hall zerknął w oszklone drzwi salonu. Susie bawiła się gazową zapalniczką: płomień buchał jak z lutownicy. - Podpali mu kanapę - pomyślał. Nie mógł znaleźć otwieracza do puszek, kawa stygła. Pruł puszki nożyczkami. Spocił się. Kiedy wykladał ananasy do salaterki, błysnęła mu myśl: otwieracz wisi na haczyku pod ręcznikiem. Tak, wisiał tam. Sam go powiesił, żeby nie szukać. Wyssał krew ze skaleczonego palca i kombinował, co by zrobić, żeby Susie jak najprędzej sobie poszła. Nic nie wymyślił, wziął tacę, przeżegnał się w myślach i nacisnął łokciem klawkę. Wszedł do salonu.

Od kanapy aż do sekretery śiały się na dywanie części garderoby Susie, coraz to drobniejsze i delikatniejsze.



Na końcu tej drogi dostrzegł jej stopy. Susie, wspięta na paluszkach, stała przy sekretarze i zapalała świece w kandelabrze. W ich blasku ciało jej połyskiwało złociście. Drobne łuski potu szkliły się na jej czole i nosie. Miała kłopoty z zapaleniem ostatniej, najwyższej świecy.

Emanuel postawił tacę na stole i uniósł lekką figurkę Susie. Zapłonęła ostatnia świeca, Podetknęła mu pod nos zapalniczkę do zdmuchnięcia. Emanuel dmuchnął. Wtedy Susie zarzuciła mu ramiona na szyję i cała przyłgnęła do niego jak mokry aksamit do szkła.

- Nareszcie będę miała chłopca - westchnęła.

- Nigdy nie miałaś? - spytał z niedowierzaniem.

Dziko spojrzała mu w oczy.

- Samych gówniarzy! Ohyda!

- - - - -